ROK VI. CHICAGO, dnia 25go PAŹDZIERNIKA, 1888. **No. 43**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50. Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.
All comunications must be adressed:

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 25 października	Krysp. i Kryspiniana, Teod.	Samomysł.
Piątek, 26 października	Iwona i Frumencyusza.	Lutosław.
Sobota, 27 października	Ewarysta.	Witomił.
Niedziela, 28 października	23-ta po Św. Szymona.	Władybóg.
Poniedziałek, 29 październ.	Narcyza i Teodora.	Dalemił
Wtorek, 30 października	Marcela i Zenobii.	Przemysława.
Sroda, 31 października	Lucylii p. m.	Godzimir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XXIII-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. IX. od w. 18 *do* 27.

W owym czasie, gdy Jezus mówił do rzeszy, oto książę jeden przystąpił i pokłonił Mu się, mówiąc: Panie! córka moja dopiero skonała, ale pójdź, włóż na nią rękę Twoją, a żyć będzie. A wstawszy Jezus szedł za nim i uczniowie jego. A oto niewiasta, która krwiotok przez dwanaście lat cierpiała, przystąpiła z tyłu i dotknęła się kraju szaty Jego. A mówiła sama w sobie: Bym się tylko dotknęła szaty Jego, będę zdrowa. A Jezus obróciwszy się, i ujrzawszy ją rzekł: Ufaj córko, wiara twoja uzdrowiła ciebie. I uzdrowiona jest niewiasta od onej godziny. A gdy przyszedł Jezus w dom książęcia i ujrzał piszczki i lud, zgiełk czyniący, mówił: Odstąpcie, albowiem nie umarła dzieweczka, ale śpi. I śmiali się z Niego. A gdy wygnano rzeszę, wszedł i ujął rękę jej, i powstała dzieweczka. I rozeszła się ta sława po wszystkiej onej ziemi.

CÓRKA SYBIRSKIEGO WYGNAŃCA.

Powieść z niedalekiej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia zaciemniła straszna zamieć śniegowa powietrze: Marta, chwiejąca za każdym krokiem nie mogła już odróżnić drogi i schroniła się pod dużą skałą. Kiedy tutaj siedziała, zdało się jej, że słyszy w pobliżu hałas, obudzający w niej nadzieję, iż lepszy przytułek znajdzie. Zawlokła się z mozołem w owę stronę i spostrzegła w samej rzeczy przewróconą i połamaną kibitkę, a nieco dalej chatę. Zapukała więc do drzwi, które jakaś staruszka otworzyła. „Biedne dziecko!" rzekła ona, wzruszona wielką nędzą Marty — „skądże przybywasz tak samiuteńka i skostniała ze zimna?" „Przychodzę z powiatu tobolskiego w Syberyi i zdążam do Petersburga dla uproszenia łaski dla mego ojca."

Na te słowa podniósł się człowiek, siedzący dotąd w milczeniu. „Co mówisz?" zawołał on ze zdziwieniem — „przychodzisz z Syberyi w takiej nędzy i wśród burzy dla wyjednania ułaskawienia dla ojca. Ach, moja biedna córka możeby tak samo jak ty uczyniła, gdyby mogła; lecz ona nawet nie wie, co się ze mną stało, że mię na Sybir wloką. Posłaniec, do którego należała ta tam potrzaskana kibitka, powraca do Rygi, gdzie moja córka przebywa, lecz nie chce zabrać z sobą ten list mój bez nagrody, a ja nie mam i kopijki — okrutnicy wszystko mi zabrali."

Marta wydobyła z kieszeni ostatni rubel i dała go wygnańcowi. „Może to wystarczy!" rzekła, oblewając się rumieńcem. Nieszczęśliwy człowiek uścisnął rękę biednej dziewczyny i ofiarował pieniądze posłańcowi, które tenże przyjął z obietnicą, że odda list jego w ręce córki.

Skoro burza minęła, chciała Marta puścić się znowu w drogę. Uściskała tedy staruszkę, która sobie z nią tak miłościwie postąpiła i szepnęła jej na ucho: „Nie mogę wam wynagrodzić, nie posiadam bowiem nic więcej oprócz błogosławieństwa rodziców — jest ono dzisiaj mojem ostatniem bogactwem."

„Jakto?“ – przerwała głośno staruszka „biedna dziewczyno, więc wszystko oddałaś!“

Marta oblała się rumieńcem i spuściła oczy. Wygnaniec wzniósł ku niej ręce i zawołał: „Aniele, który wszystko dla mnie oddałeś, czyż nie mogę nic dla ciebie uczynić?“

Na stole leżał nóż. Marta chwyciła go, odcięła nim zwój swych włosów i podając go wygnańcowi odrzekła: „Mój panie! dostaniesz się pan do Tobolska i będziesz widział gubernatora; oddaj mu pan te włosy i powiedz mu, że Marta posyła je rodzicom. Może on pozwoli, aby ta pamiątka im powiedziała, że ich dziecko jeszcze żyje.“

„Przysięgam, że spełnię twe życzenie!“ zawołał wygnaniec — „a jeśli będzie mi wolno, odnajdę sam chatę twoich rodziców i opowiem im, co dzisiaj uczyniłaś.“ W dalszej drodze znalazła się Marta, głodna i wycieńczona wśród lesistej okolicy. Przypadkiem spotkał ją tutaj bandyta, a niegdyś podwładny żołnierz jej ojca, który ją mlekiem z flaszki posilił i drogę do bliskiej wsi — Prokowa pokazał. W godzinę później dostała się wreszcie Marta do rzeczonego sioła i zapukała do furty żeńskiego klasztoru, gdzie ją wpuszczono. Marta opowiedziała o swem wycieńczeniu i prosiła o nocleg. Pobożne klasztorne siostry przyjęły ją chętnie u siebie, gdyż jej niedola bardzo je zbudowała. Podziwiały one jej cnotę, iż bez narzekania mogła znieść tyle trudów, wytrzymać tyle doświadczeń. Zakonnice te były nader ubogie; mimoto same z siebie zdjęły po sztuce odzienia i zaopatrzyły niem biedną Martę, która się wzbraniała przyjąć tak rzadką ofiarę. Atoli zakonnice odrzekły: „My mamy przytułek, a ty go nie masz; te ubogie drobiazgi, które posiadamy należą się tobie — tyś uboższą od nas!“

Wreszcie spotykamy naszą młodą heroinę na gościńcu, wiodącym wprost do Moskwy, starożytnej wielkiej stolicy rosyjskiego państwa. Dziwi się Marta osobliwszemu życiu, jakie tutaj spostrzega, mnóztwu powozów i sanek, mężczyzn i kobiet, ludziom wszelkiego stanu, którzy się zdają cisnąć się społem do miasta: im dalej idzie, tem natłok staje się większym. Na przedmieściach wszystkie domy przepełnio-

ne ludźmi, płacącymi za najmniejsze miejsca najwyższe ceny tak, iż ona, nie mając nic, nie może znaleść schronienia. Zalana łzami pożywa wreszcie kawałeczek zmarzniętego chleba, który jej wzgardliwa litość podała. Lecz to ją nie poniża — boć ona cierpi dla dobra rodziców, a co tylko czyni, to jest jej obowiązkiem.

Kiedy się Marta wreszcie do śródmieścia zbliżyła, odezwały się wszystkie dzwony — dziewica słyszy imię cara na ustach wszystkich. W powietrzu rozlega się huk armat. Z trwogą w sercu pyta się Marta człowieka w bogatym stroju, stojącego około przewróconego wozu o przyczynę dzwonienia i strzelania.

Obcy odpowiada: „Car wjeżdża do Moskwy!"

„Jakto:" — zawołała zdziwiona Marta — „a więc car nie przebywa w Petersburgu?" Człowiek ów wzruszył ramionami i rzekł z wyrazem litości: „Biedna dziewczyno! a więc ty nie wiesz, że Aleksander przybył do Moskwy w celu koronowania się?"

Napół nieprzytomna Marta złożyła ręce: niebo zesłało jej pomoc w zbliżeniu władcy, dzierżącego los jej rodziców w swem ręku; ono to zrządziło, iż stanęła w mieście w czasie powszechnej radości, gdzie w sercu monarchy surowość milknie, a odzywa się łaskawość.

Marta stanęła w Moskwie w marcu r. 1801. z pocieszającą nadzieją, że się znajduje u celu wszelkich trudów, nie myśląc, aby się miała obawiać nowego nieszczęścia i niepowodzenia. Widziała ona w tem ogromnem mieście dumne pałace, ozdobione królewskim przepychem, a obok nich okopcone chaty, wystawione na wiatry — widziała zaludnione okolice, w których ją cisnące tłumy z sobą porywały. Niedaleko napotkała ona małe gaiki i pola tak, iż można było mniemać, że się jest na wsi. Spoczęła wreszcie nieco na wielkiej promenadzie, poprzerzynanej wspaniałemi lipowemi aleami. Mnóstwo ludzi tutaj spacerowało, rozmawiając o koronacyjnych uroczystościach. Miejsce to przerzynały wspaniałe sanki i powozy we wszelkich kierunkach; wielkie dzwony głównego kościoła Izaaka nie przestawały

dzwonić, a naokoło łączyły się z jego głosem głosy dzwonów reszty licznych kościołów — od czasu do czasu rozlegał się huk armat, który zaledwo można było słyszeć wśród ogólnej wrzawy, napełniającej to ogromne miasto.

Największy hałas panował na placu przed rezydencyą cara tj. przed Kremlem, obszernym zamkiem z licznemi wieżami i złoconemi kopułami. Na tym rozległym placu paliły się wielkie ognie; Marta zbliżyła się i usiadła nieśmiało przy jednym z nich. Była ona prawie skostniała z zimna i wycieńczona z natężenia. Schyliła teraz głowę ze smutkiem, gdyż w całem mieście ani przytułku, ani obrońcy nie znalazła.

Wreszcie nadchodziła noc; a zimno stało się przejmującem do kości. Biedna dziewczyna, która przez cały dzień oprócz kawałeczka zmarzniętego chleba nic więcej nie jadła, nie wiedziała, co się z nią stanie. Szukała w każdej twarzy wyrazu litości — lecz nie mogła go wyśledzić. Pukała do drzwi najuboższych chat, lecz wszędzie ją odprawiano. Marta powróciła więc znowu do dużego ognia na plac przed Kremlem i szukała ulgi dla serca w łzach obfitych. W boleści zapomniała ona zaspokoić głód skrawkiem owsianego placka, który jej z litości jakaś staruszka dała. Ujrzała się teraz biedaczka na tym stopniu nędzy, gdzie człowiek widzi potrzebę wyciągnięcia ręki do przechodniów dla otrzymania skąpej jałmużny, albo odprawy ze wzgardą. W chwili właśnie, kiedy miała po raz pierwszy wyciągnąć rękę, powstrzymało ją od tego pewne uczucie dumy. Atoli zimno było tak srogie, iż ryzykowała życie, gdyby miała pod gołem niebem nocować: a to jej życie należało nie do niej, bo je poświęciła nieszczęśliwym rodzicom. Myśl ta pokonała jej dumę. Zasłaniając jedną ręką oczy, wyciągnęła drugą do najbliższego przechodnia i rzekła: „W imię ojca, który pana miłuje i matki, która mu życie dała, daj mi pan co, abym mogła zapłacić za nocleg.“

Mężczyzna, do którego się biedna Marta zwróciła, spoglądał na nią kilka chwil z ciekawością przy blasku ognia, a potem rzekł: „Dziewczyno! obrałaś sobie kiepskie rzemio-

sło — czyż nie możesz pracować. W twoim wieku trzeba sobie na kawałek chleba zarobić. Niech ci Bóg dopomoże, nie lubię żebraków!“

Nieszczęśliwa dziewczyna podniosła oczy ku niebu, a pokrzepiona pocieszającym wewnętrznym głosem przemówiła do kilku przechodzących osób. Atoli jedne z nich przechodziły nie zważając na nią, inne dały jej tak skąpą jałmużnę, iż ona nie mogła zaspokoić nią swych potrzeb.

Wreszcie gruby zmrok zapadł; tłumy ludu rozbiegły się, ognie gasnąć zaczęły. Straż zamkowa zbliżyła się do Marty i zapytała, dlaczego dotąd w tem miejscu pozostaje. Biedna dziewczyna przelękła sie surowego głosu i gniewnej miny żołnierzy; zalała się łzami, nie mając odwagi do odpowiedzi. Żołnierze, których jej boleść nie wzruszyła, otoczyli ją i powtórzyli pytanie z bezwstydną poufałością. Marta odpowiedziała drżącym głosem:

„Przybywam tutaj z Tobolska w celu wyjednania u cara ułaskawienia dla mego ojca. Odbyłam podróż pieszo; a ponieważ niczego nie posiadam, nikt mię tutaj przyjąć nie chciał.“

Na te słowa wybuchnęli żołnierze śmiechem, uważając jej opowiadanie za zmyślone. Nieszczęśliwa dziewczyna chciała z wielkiego strachu umknąć; atoli oni nie pozwolili jej tego i zatrzymali ją przemocą.

„O mój Boże, mój ojcze!“ zawołała Marta w trwodze największej rozpaczy — „czy mi nie pospieszysz na pomoc, czyż zupełnie zapomniałeś o biednej Marcie?“

Wśród tego zajścia zebrało się na ten hałas kilku mężczyzn z ludu i szemrali w głos na surowość żołnierzy. To ośmieliło Martę, która wyciągnęła ręce i zawołała: „Przysięgam w obliczu nieba, że nie skłamałam: przychodzę piechotą z Tobolska dla wyjednania ułaskawienia mego ojca — ratujcie mię, ratujcie!“

Te słowa wzruszyły serca obywateli: pospieszyli jej na pomoc. Jeden z nich rzekł do żołnierzy: „Posiadam gospodę „pod św. Bazylim“ niedaleko tego placu; ja przenocuję tę dziewczynę — zdaje się ona być poczciwą: pozwólcie jej pójść ze mną.“ Gdy i żołnierze wzruszeni na to przystali,

ujął gospodarz Martę za rękę, zaprowadził ją do swego bliskiego domu. „Nie mogę ci dać pokoju;“ rzekł do niej — „bo wszystkie są zajęte; ale na jednę noc przyjmie cię do swego domu moja żona: ona jest dobra i chętnie się ograniczy.“ Nie rzekłszy słowa weszła za nim Marta do małej izdebki, w której siedziała przy piecu młoda kobieta, trzymająca na ręku dziecinę. Kiedy jej mąż całe zajście opowiedział, ujęła gospodyni Martę za rękę i rzekła z dobrotliwym uśmiechem: „Biedaczka! jakże ona blada i zalękniona. Uspokój się jednak: postaramy się o ciebie. Innym razem wystrzegaj się pozostawać tak późno na publicznem miejscu! W twoim wieku i w wielkiem mieście o tej godzinie nie można ukazywać się na ulicy.“ Gospodarz Iwan Bistuszew dodał: „Nie mam ja wielkiego wpływu w mieście, ale uczynię dla ciebie chętnie wszystko, co tylko będzie w mych siłach.“

Przed udaniem się na spoczynek to jeszcze rzekła gospodyni do Marty. „Car jest ludzkim panem, który chętnie wysłuchuje każdego poddanego. Jutro będzie się on koronował w kościele Wniebowstąpienia Matki Boskiej. Po drodze musisz się do niego zbliżyć, rzucić się przed nim na kolana i prosić o łaskę dla ojca. Będę ci towarzyszyła.“

Marta podziękowała ze łzami w oczach za dobroć gospodarza, a posiliwszy się smaczną wieczerzą udała się na spoczynek do łóżka gospodyni, podczas gdy się jej mąż położył w dużej szynkowni na ławie, stojącej przy piecu. D. n.

Oleksa Chudzio

syn włościański i rycerz polski.

Nie tak dawno, bo 20 lat z małym przyczynkiem, szli od nas pany, mieszczany i chłopi kupkami do Polski, aby bić Moskala za to, że się bardzo pastwił nad narodem polskim. Żyje dziś niejeden między nami, co sam dobrowolnie i ochotnie był na tej wojnie i może poświadczyć, jaką straszną krzywdę robili i do dziś robią Moskale katolikom w polskim

kraju. Wielu zaś takich wojaków polskich zginęło w bitwach z Moskalami, a na tysiące nie porachować jeszcze dziś, ile to Moskale żywcem pozabijali, na Sybir skutych wysłali, strasznie zamęczyli.

Do tych rycerzy za naród i wiarę r. 1864 należy i Oleksa Chudzio, syn chłopski ze wsi Szechynie blisko Przemyśla. Ja, co to piszę, byłem żywym świadkiem, znałem tego młodzieńca, jego matkę staruszkę, bo ojciec już nie żył, a nawet uczyłem go w szkole katechizmu, gdyż byłem pod te czasy księdzem w Medyce, a lud z Szechyni należał do mojej parafii. Czy to dla panicza czy dla wiejskiego dziecka piękna to nauka, piękny przykład, który dał sierota i prosty syn chłopski, jak każdy Polak powinien kochać swój kraj i bronić.

Przyszedł ten młodziutki chłopak do mnie, pochwalił Boga i nieśmiało mówi:

— Jegomość! ja się wybieram daleko.

Ja ciekawy pytam go:

— A dokądże ty myślisz lecieć?

On stał cicho, potem cicho wymówił:

— Tam! — i ręką pokazał na północ.

Domyśliłem się, co miał na myśli, zacząłem odradzać, że jest bardzo młody, słaby, że matka staruszka sama, potrzebuje robotnika w domu, że na wojnie straszna bieda, głód, nie każdy wróci, kto tam idzie, albo wróci pokaleczony, albo może wpaść w ręce Moskala, to zamęczą i na Sybir zapędzą, itd. On to słuchał, potem mówi:

— A P. Jezus więcej cierpiał, aby każdego zbawił i kazał naśladować siebie, P. Jezus chodził i uczył naprzód w swej ojczyznie, gdzie się narodził, tam cierpiał i umarł, był pochowany, stamtąd do nieba wstąpił. Otóż każdy powinien naprzód swój kraj i swój naród kochać, rodaków nauczać, za nich cierpieć, bronić ich od Moskala, Turka, Niemca, a jak wypadnie, to nietylko grosz, ofiary składać ale i śmierć ponieść za naród katolicki, który wierzy od dawnych wieków w P. Jezusa, i Matkę Boską ma za swóję królowę. A takim to narodem jest naród polski, jak piszą nasze gazety.

Na taką mądrą mowę nie było co dodać ani poprawiać. Ja też przemówiłem do jego serca:

— No! prawdę świętą mówisz: widzę, że znasz żywot Pana Jezusa i lubisz czytać gazetki, ale pomyśl! oto matka twa staruszka, a ty na nią masz pracować.

On mi przerywa i mówi:

— A P. Jezus każe porzucić matkę, ojca, brata i bronić wiary św. i tego narodu, który wyznaje wiarę katolicką; a tej wiary bronił nasz naród przed Tatarami, Moskalami, Turkami od dawnych wieków.

Ja znowu odpowiadam mu:

— To prawda! A czyż tobie matka pozwoli na to? Może cię będzie przeklinała, że ją odchodzisz? a jak ona cię nie pobłogosławi, to co będzie na końcu!

On wesoło odpowiada:

— Ja opowiedziałem matusi, co myślę zrobić. Z początku nie chciała wierzyć, potem zaczęła płakać, ale ja chwyciłem ją za kolana, prosząc o błogosławieństwo, że ja nie idę na złe drogi, ale ja idę tam, gdzie naród idzie, idę wykonać pierwszy i święty obowiązek każdego katolika, idę bronić wiary św. i narodu kat. od schizmy i okrutnych nieprzyjaciół. Na to nic mi nie odrzekła. Ja pogłaskałem zucha chłopaka. Kazałem matkę przyprowadzić, co też ona powie i zrobi.

A matka mówiła ze łzami.

— Niech idzie za tymi, co na dobre ciągną, ale czy też ty Olesiu wrócisz? czy ja cię znowu zobaczę kiedy? może wrócisz bez ręki, bez nogi, a któż ci da jaką radę?

On matce odpowiada:

— Cicho! cicho! mamo moja. Jak wrócę kaleką, to mi Bóg i rodacy nie dadzą zginąć, ale mię i was, matusiu, każdy uszanuje, pochwali, żeście w chłopskiej chacie takiego zucha urodzili i wychowali. A jak wrócę cały i zdrowy, to wam pokażę na piersi medal albo krzyżyk zasłużony na świętej wojnie, abyście mieli chwałę za życia od narodu. No! a jak zginę, to moja dusza przy P. Jezusie i Matce Boskiej nie zaginie, a przecież niejeden o mnie wspomni, żem dał przykład dobry. A zresztą idę razem z paniczami z dworu małno-

wskiego i Mieczkiem Romanowskim pod jenerała Lelewela. Poszedł do kościoła z M. Romanowskim, musiałem błogosławić na drogę ze łzami — i skończyła się rada z matką.

Zapytacie czy wrócił?

Ci towarzysze jego, co wrócili, opowiadali, że był w trzech strasznych bitwach z ostrą kosą w rękach razem z paniczem Łuckim ze wsi Sarny, aż w bitwie pod Józefowem zginął razem z M. Romanowskim, który miał do dwudziestu ran na całem ciele, a młody Oleś był prawie na kapustę przy nim posiekany, tak się obydwa bronili blisko godzinę od dzid kozackich i razem polegli jako męczennicy.

Spełniam, Olesiu, życzenie Twoje i wspominam teraz o Twojej duszy zacnej. Zgadłeś, bo oto rodacy będą powtarzali Twoje imię, które nie zaginie na naszej ziemi.

Niech spoczywa z Bogiem.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Gdy Kościół miał spokój, religia katolicka zaczęła się w cudowny sposób rozszerzać i to bardzo prędko, na wielu miejscach powstały kościoły, wyświęcano kapłanów, a bogate podarunki składano na utrzymanie kościoła i sług jego. Chociaż nie wiele mamy wiadomości z owego czasu o tem, co papież Melchiades wszystko zdziałał, gdy Konstantyn Kościołowi wolność przywrócił, to jednak to co z pewnością wiemy, wystarcza do pokazania nam, iż papież gdy z wszelką mógł działać wolnością, tak był czynnym, i tak wielkie o cały Kościół miał staranie, jakie świat zawsze mógł spostrzegać w papieżach rzymskich. Najprzód swoją czynność zwrócił na uporządkowanie kościoła w mieście Rzymie i to z taką starannością i z takim skutkiem tak, że jak historycy stwierdzają, Rzym miał już 40 wielkich kościołów. Ow przez groby tylu papieży i męczenników uświęcony cmentarz św. Kaliksta napowrót chrześcianom został oddany i przez papieża Melchiadesa wzięty w posiadanie. Papież kazał też ciało swego poprzednika Euzebiusza na wygnaniu zmarłego do Rzymu

sprowadzić i na tym cmentarzu pochować. Był stary zwyczaj w Kościele przesyłania Najśw. Sakramentu. Gdy bowiem w zgromadzeniu wiernych w czasie prześladowania ofiarowano Mszą św., diakoni nieśli konsekrowane hostye do nieobecnych, którzy w domu pozostać musieli, albo którzy we więzieniu byli, aby i ci komunią św. przyjąć mogli. Prócz tego rozsyłali Przenajśw. Sakrament kapłani w czasie wielkanocnym i to przez akolitów, których biskupi na ten cel wysłali, albo których papież wyznaczył. W żywocie św. Tarsiliusza męczennika akolity czytamy, iż poganie go na drodze schwycili, gdy niósł Przenajśw. Sakrament. Rozsyłanie Przenajśw. Sakramentu miało podwójny cel: do nieobecnych, chorych i więźniów, aby mieli sposobność przyjąć komunią św., odleglejszym biskupom i kapłanom innych kościołów papież posyłał Przenajśw. Sakrament, aby przez to łączność owych kościołów z kościołem rzymskim oznaczyć. Sakrament Przenajśw. w ten sposób przesłany nazwano *fermentum* t.j. kwasem, bo jak kwas cały chleb zakwasza, tak też w ten sposób przesłany Przenajśw. Sakrament miał wyobrażać otwarty znak łączności wszystkich wiernych z jednem ciałem Chrystusa. Zwyczaj ten opierał się niezawodnie na tych słowach Pawła św.,który mówi: „Jeden chleb, jedno ciało jesteśmy wszyscy, którzy bierzemy udział w jednym chlebie." To przesłane fermentum bywało odbierane w kościele a kapłan wkładał je podczas Mszy św. do kielicha właśnie wtenczas, gdy jeszcze dzisiaj kapłan kawałek ułamanej hostyi konsekrowanej kładzie do kielicha, przy czem mówi te słowa: Pokój Pański niechaj będzie z wami. — Gdy św. Melchiades uporządkował sprawy kościelne w Rzymie, zaprowadził napowrót i on ten stary zwyczaj posyłania Najśw. Sakramentu Ołtarza i to w ten sposób, że to posyłanie odbywało się w niedzielę tylko do kapłanów mieszkających przy kościołach w mieście a nie do kościoła leżących przed miastem. Prócz tego Melchiades zakazał w niedziele i czwartki pościć, niezawodnie z powodu Manichejczyków, którzy właśnie niedzielę uważali za dzień postny. Potem nakazał Melchiades, aby się dwie woskowe świece paliły na ołtarzu przy

odprawianiu mszy św. Nie był to nowy zwyczaj, bo od czasów apostolskich zawsze odprawiano mszą sw. przy palących się świecach, co już z tego wynika, że urząd nosicieli świec czyli akolitów od początku Kościoła zawsze istniał.

Kościół katolicki jest nazwany kościołem wojującym, bo zawsze ma nieprzyjaciół, jak to P. Jezus przepowiedział Apostołom swoim. A jeżeli Kościół za papieża Melchiadesa przez nawrócenie się Konstantyna miał zewnętrzny pokój, to jednak miał on do walczenia z innego rodzaju nieprzyjaciołmi, z kacerzami, którzy ten pokój psuli i na niebezpieczeństwo wystawiali jedność i czystość nauki. Kacerze, przeciwko którym Melchiades zaraz walczyć musiał, byli Donatyści, którzy byli sprawcami wielkiego rozdwojenia. Sekta ta powstała w Afryce w następujący sposób: W r. 311 umarł biskup Mensurius w Kartaginie, a chrześcianie wybrali zaraz archidyakona Caeciliana na biskupa, który odebrał święcenia od biskupa Feliksa z Aptunga. Bogata wpływowa niewiasta Lucilla była nieprzyjaźnie usposobiona dla nowego biskupa, bo ją przedtem jako archidyakon napomniał, aby zaniechała zwyczaju całowania po komunii św. głowy męczennika, którego kościół jako takiego nie uznawał. Niewiasta ta ze swoimi zwolennikami połączyła się z pewną liczbą biskupów z Numidyi, którzy przedtem prawie wszyscy za prześladowania cesarza Dyoklecyana wydali poganom pismo św. i ci w r. 312 zgromadzili się w Kartaginie, gdzie dla tego ogłosili święcenie Caeciliana za nieważne, bo święcący go biskup z Aptunga, jak oni głosili, wydał poganom Pismo św. Obrali więc na biskupa Kartaginy Majorinusa, przyjaciela domowego Lucilly, która całą tę sprawę pieniędzmi przeprowadziła. Tak przez tę złą kobietę i przez złych biskupów powstało rozdwojenie w kościele Kartaginy. A całe to rozdwojenie miało swoją przyczynę w osobistej nieprzyjaźni, bo później sądowne zbadanie tej sprawy w r. 313 pokazało, że biskup Feliks z Aptunga zupełnie był niewinny a nawet wtenczas, gdyby był winny, to jednak jego święcenia byłyby ważne. Już więc i w tej rzeczy była ukryta fałszywa nauka, którą wkrótce potem ogłosili wyraźnie. C. d. n.

Zamek Lanckoroński w obwodzie Wadowickim.

Założenie zamku. Rzadko trafia się, aby podróżny jadąc głównym gościńcem od Biały ku Lwowu, minąwszy Kalwarję Zebrzydowską, nie rzucił okiem w prawo na zamek Lanckoroński, na wysokiej górze położony. Zowią go zamkiem, bo był nim niegdyś za czasów Piastów i Jagiellonów; dzisiaj jednak zamku już niemasz, tylko ruiny tegoż sterczą na pięknem i wspaniałem wzgórzu, jako zabytki przepychu i świetności upłynionych wieków i czasów.

Myślący wędrowiec, gdy badawczem okiem spojrzy na te ruiny, niepodobna, aby się dłużej u podnóża tej góry nie zatrzymał, lub się nie pokusił wyjść na sam jej szczyt, by oglądać zwaliska wiekopomnej twierdzy, w której niegdyś przebywali možni władcy, jakimi byli: starostowie, kasztelani i wojewodowie, a z których niektórzy królom i monarchom wojny wypowiadali. Pokoje tych panów lśniły się od złota, srebra i drogich djamantów, a w komnatach i strażnicach przesuwali się zbrojni rycerze i nadworni słudzy, gdyby roje pszczół około ula miodopłynnego.

Dzisiaj jakaż tu zmiana! Gdzie dawniej odważni rycerze i żwawi giermkowie zapełniali pokoje możnowładców, i gotowi byli na ich rozkazy lecieć na krańce świata — tam sowy, kruki i wrony siedzibę swoją założyły. Gdzie przed dwoma set laty orkiestry zawołanych muzyków wśród wesołych uczt i biesiad, dźwięcznie i melodyjnie wygrywały — tam dzisiaj zaledwo puszczyk zahuczy, a ptaszyna smutną zanuci piosnkę, a z przepysznego zamku wszechwładnych panów sterczą zaledwo ruiny potwierdzające tę wiekopomną prawdę: „Że wszystko marność nad marnościami, i wszystko marność.“

Zkąd się zachciało, powie tu niejeden, dawnym panom na takich górach stawiać zamki? Po co? i na co było zakładać siedziby tam, gdzie ani wody, ani żywności nikt nie napotka? i gdzie najpotulniesze zwierzątko rzadko kiedy zaglądnie? —

Odpowiadam: kraj Polski wraz z Rusią i innemi państewkami Słowiańskiemi, graniczył z drugą częścią świata, zwaną Azyą. Azya tedy przynajmniej od północy nie była morzem oddzieloną od Europy, jak Afryka i Ameryka. Góry tylko Kaukazkie i rzeka Wołga stały zawadą, a więc łatwiej było dostać się z Azyi do Europy przesmykami górskiemi, lub przez rzekę, aniżeli do Afryki i Ameryki (natenczas jeszcze nawet mało znanej) przez Oceany i morza okiem nieprzejrzane. Ponieważ wówczas Azya jako kolebka rodu ludzkiego najbardziej była zaludnioną, a mieszkańcy tej części świata z powodu gorącego klimatu byli nader ociężałymi i nie bardzo do pracy ochoczymi; przeto niektóre ludy, a mianowicie ludy na pół dzikie, i że tak powiem barbarzyńskie, jakoto: Huny, Awary, Mongoły itd. ciągnęły kilkoma szlakami z Azyi do Europy, by tu łatwym sposobem przyjść do bogactw, o nagromadzeniu których wiele słyszały. Ztąd powstały wędrówki narodów, o których obszernie pisali historycy średnich wieków.

Po Hunach, Awarach, Gotach, Mongołach, na pograniczu Europy, a więc na Rusi i w Polsce, najdłużej grasowali Tatarzy (plemię Mongolskie), którzy ciągle napadali spokojne i pracowite ludy Słowiańskie, i takowym ogromne szkody wyrządzali. Plemię to było nader dokuczliwe ludom Europejskim, i słusznie nazywano je szarańczą wszystko niszczącą, najechawszy ziemie uprawne, nie tylko zabierali plony osiodłym rolnikom, ale i to, czego uprowadzić z sobą nie mogli, palili i niszczyli, mieszkańców zabijali i domy ich z ziemią równali.

Na wieść że Tatarzy nadciągają; popłoch, przestrach, trwoga i bojaźń ogarniała wszystkie warstwy społeczeństwa. Każdy brał z sobą co miał najdroższego, i uciekał, gdzie mógł zostawiając dom pusty. Ale gdzie tu było uciekać? kiedy Tatarzy zaglądali w najskrytsze miejsca, a na równiach trudno było znaleść bezpieczne schronienie. Pomiędzy możniejszymi znajdowali się niektórzy, co upatrzywszy bystre i niedostępne miejsca, stawiali na szczytach takowych zamki, pałace lub jakiekolwiek domostwa i siedziby, by tam mieć

schronienie przed najazdem Tatarów, lub innych rozbójniczych ludów.

Powie znów może nie jeden: jak stawiać na tak wysokich i bystrych górach zamki i pałace, kiedy to z ogromnym kosztem jest połączone; dzisiaj na takie budowle trzebaby nie tysiące, ale miliony poświęcić, a zkąd ich wziąć? Odpowiedź na to taka: Dawni panowie, starostowie i wojewodowie stawiając zamki na wysokich górach, nie potrzebowali koniecznie posiadać milionów, gdyż inne ku temu nastręczały im się środki. Tak np. harcując z Tatarami lub innemi rozbójniczemi narodami, udało im się czasem takowych pokonać i do niewoli zabrać. Rozumie się, że mając masę niewolniczej zgrai, nie mogli ją darmo żywić, lecz jej dawali zawsze jakieś zatrudnienie. A więc za mierną odzież i skromną żywność musieli niewolnicy na ich rozkazy pracować przy budowaniu zamków. Budowanie tedy zamków nie było dawniej z tak wielkiemi kosztami połączone, jak dzisiaj. Takim sposobem stawiano zamki, i w ten sposób stanął zamek Lanckoroński.

Kiedy, i w którym wieku stanął zamek na Lanckoronie, nie wiadomo z pewnością. W tem jednak zgadzają się historycy i archeologowie: że początek założenia zamku Lanckorońskiego sięga czasów Kaźmierza W. Za panowania bowiem tego króla, najwięcej miast, zamków i grodów w Polsce powstało, a więc i zamek Lanckoroński niezawodnie musiał być natenczas zbudowany. Pierwiastkowo jednak miał być drzewiany, który w późniejszych czasach Szwedzi spalili, poczem za Jagiellonów takowy z kamienia i cegły silnie odbudowano.

Pomiędzy ludem Lanckorońskim utrzymuje się dotąd podanie, że dawnemi czasy na zamku mieszkał znakomity pan z rodziną swoją. Mając dziecię powierzył je opiece niańki. Ta pewnego razu w niebytności państwa, bawiąc dziecię przy otwartem oknie, wypuściła je niebaczna z rąk, i dziecię spadło z pierwszego piętra na skalistą ziemię. Wypadek ten przejął ją okropną trwogą; mniemała bowiem, że dziecię padłszy na skalistą ziemię z takiej wysokości, żyć przestało.

Cóż ona czyni? Ucieka natychmiast z zamku i biegnie do pobliskiego lasku, a zoczywszy figurę ukrzyżowanego Jezusa, uklęka przed nią i poczyna się gorąco modlić. A gdy się tak szczerze modli i płacze wpadłszy w zachwycenie, słyszy głos Chrystusa Pana: „Nie płacz, ale idź na zamek, a znajdziesz żywe i zdrowe dziecię.“ Jakoż w rzeczy samej wróciwszy na zamek zastała dziecię czerstwe i zdrowe bez najmniejszego uszkodzenia. Na tem tedy miejscu, gdzie się to stało, istnieje dzisiaj kościółek pod tytułem „Podniesienia krzyża św.“ w stronie wschodniej od miasta. C. d. n.

Mój Jasiu, mówi nauczyciel do chłopca, znowu się biłeś z chłopakami na ulicy! Nie pojmuję, jak można być tak niegrzecznym! — Jeżeli pan tego nie pojmuje, to się pan w to nie wtrącaj! — była odpowiedź przemądrzałego chłopaka.

Miłość bliźniego. — Nauczyciel. Wytłumaczyłem wam zatem, na czem zasadza się miłość bliźniego. Powiedz mi więc Jasiu, gdybyś z Pawełkiem przechodził wązką ścieżką nad bagnem, a Pawełek wyśliznąłby się i wpadł w kałużę, cobyś ty wtenczas zrobił?

Jaś. Jabym go wyśmiał!

Co jest humbug? Marynia: — Powiedź mi, Nikusiu! cóż to znaczy humbug? — Nikuś: Dobrze, moje dziecko, zaraz ci wyjaśnię. Oto zawsze zapominasz mi przyszyć guzika do koszuli i zawieszadła do surduta, a przecież powiadasz, że mię nad życie kochasz — widzisz to jest humbug!

Leniwy marznie przy robocie, a jak je to cały w pocie.

Letarg. W pewnej rodzinie, w Pawłowsku, wydarzył się ciekawy wypadek snu letargicznego. Młoda 18 letnia panienka, cierpiąca przeszło od miesiąca na bardzo ciężką chorobę, znalezioną została w tak bezprzytomnym stanie, że uważano ją za umarłą. Lekarz, który miał ją w kuracyi, po troskliwem obejrzeniu uznał, że chora znajduje się w śnie letargicznym. Sen ten trwał przez dni 6, po których upływie chora się obudziła. Wróciwszy do przytomności, uczuła nadzwyczajny apetyt i jednocześnie szybko zaczęła wracać do zdrowia. Z opowiadań jej okazuje się, że będąc w letargu słyszała wszystko, co się około niej działo i że chciała dać znać, że żyje, lecz jakaś nieprzeparta siła skuwała jej usta i pozbawiła możności uczynienia najmniejszego choćby ruchu.

Ludzie mówią: kłamie, że się aż kurzy; kłamie, jak najęty; kłamie, jak z książki; kłamie, jak z gazety; kłamie, jak telegraficzna depesza; kłamie, jak cygan; kłamie, jak dyplomata. Któż więc najlepiej kłamie?

Żona. Ale mężu, jakże możesz się w tak nieczystej myć wodzie?

Mąż. „Czystemu jest wszystko czyste.“